Historia w karetach zaklęta

Rozmowa z Teresą Fabijańską-Żurawską, wieloletnim kustoszem Powozowni Zamkowej w Łańcucie.

Teresa Żurawska w Łańcucie.

Z panią Teresą Żurawską przyjaźnię się od wielu lat. Zaczęło się od rozmów ze starszymi osobami w mojej rodzinie, słuchania z zapartym tchem opowieści o dawnym obyczaju, balach, polowaniach, sportach, zjazdach rodzinnych i bytności różnych znanych, historycznych postaci w domu mojego dziadka. Tego świata już nie było koło mnie. Były bloki, podwórko,

piaskownica, „babie górki”, było ślicznie i zielono, ale gdzie te sanie, powozy, długie suknie i rytuał picia herbaty punktualnie o 16.00. Próbowałam odszukać ten zaginiony świat na starych pocztówkach. Uzbierała mi się niemała kolekcja. Poprzez pocztówki dotarłam do Łańcuta i autorki książki o obyczajach związanych z pojazdami konnymi z łańcuckiej kolekcji. Książka była pożyczona z biblioteki, ale żal było mi się z nią rozstać, więc ją całą przepisałam. Chodziłam wtedy do 4 klasy szkoły podstawowej. Po informacji o odkryciu przez Teresę Żurawską – kustosza Powozowni, słynnej ambony z Radacza, zbudowanej z części karet Sobieskiego, o czym było głośno w prasie, odważyłam się napisać list do Łańcuta. Zaczynał się od słów: „Mam 10 lat, chodzę do 4 klasy…”. Jakież było moje zdziwienie, gdy bardzo szybko dostałam poważną odpowiedź. Zaczęła się długoletnia korespondencja i przyjaźń. W Łańcucie odnalazłam świat sztuki, kultury, dawnych obyczajów. I poznałam bliżej panią Teresę, wspaniałego człowieka, który ma tak wielki wkład w tworzenie naszej kultury i reprezentowanie Polski na zewnątrz kraju, tak wielki dorobek pisarski, a jednocześnie tyle ciepła, stylu, elegancji, urody zewnętrznej i urody ducha. Jest to prawdziwa pani na Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Ta wielka kolekcja powozów w Łańcucie, jedna z największych w Europie, jest w jakimś stopniu i pani dziełem. Jak do tego doszło, że pani, absolwentka KUL-u zajęła się historią pojazdów konnych i przyczyniła się pani do stworzenia nowej gałęzi historii sztuki?

Teresa Żurawska:

Oboje z mężem, Jerzym Żurawskim, przybyliśmy do Łańcuta w 1963 r. na usilne prośby ówczesnego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie, Antoniego Dudy-Dziewierza, wspaniałego człowieka, działacza i ideowca z przedwojennego PPS-u. Mąż został głównym kustoszem w randze wicedyrektora do spraw naukowych. Oboje mieliśmy już mały staż pracy w Olsztynie, zaraz po studiach zatrudnieni do misji

kulturalnej, której nadano tajemniczą i brzmiącą konspiracyjnie nazwę „AKCJA 666”. Chodziło o rejestrowanie opisem, fotografią oraz danymi administracyjnymi, obiektów architektury zabytkowej, tak świeckiej, jak i sakralnej na Warmii i Mazurach. Jako historycy sztuki jeździliśmy po wypalonych, zrujnowanych miasteczkach, zniszczonych nie na skutek działań wojennych, lecz z rozkazu Stalina, by nie oddać tego, co ocalało po wojnie i miało w nowym podziale terytorialnym Europy przypaść Polsce. Akcja trwała trzy lata i nagle została przerwana, choć nie zakończona. Straciliśmy pracę i to oboje. Na świecie był już nasz syn Wrzesław. Trzeba było szukać zarobku.

Przypadek sprawił, że w podróży do moich rodziców, którzy mieszkali w Zamościu, spotkaliśmy konserwatora wojewódzkiego z Rzeszowa. W rozmowie padła konkretna propozycja etatu w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie na stanowisku z-cy konserwatora. Bez zastanowienia przyjęliśmy tę możliwość jako szansę. W Rzeszowie upłynęły nam kolejne lata: ciekawy teren dużego wojewódzkiego miasta, dość zaniedbanego, ale bogatego w piękne obiekty architektury renesansowej, barokowej, drewnianej. Zaczęłam pracę w Muzeum Okręgowym i nawet miałam publikacje naukowe i popularne, z zakresu malarstwa i wystaw artystycznych, zorganizowałam znaczącą wystawę i całkiem dobrze się czułam w kręgu ludzi kultury rzeszowskiego środowiska. Jednak nasz syn zaczął w przedszkolu chorować i to zadecydowało o podjęciu decyzji przeniesienia się do Łańcuta.

Teresa Żurawska przed zamkiem w Łańcucie.

Miejsce pracy zachwycające, ale ileż tam było do zrobienia! Trzeba było wszystko, prawie od początku zorganizować, aby stworzyć z Łańcuta placówkę naukową promieniującą na całe południe Polski i nie tylko. Wieść o Zamku i Powozowni słynącej z najwspanialszej kolekcji pojazdów konnych szybko się rozprzestrzeniła. Do Łańcuta przybywały tłumy ludzi. Urządzano sesje naukowe, seminaria, odczyty, zjazdy i koncerty. Życie kulturalne kwitło, a my mieliśmy coraz mniej pracy. Nowy statut muzeum przewidywał podział ogromnego terytorialnie i merytorycznie zespołu na odpowiedzialne, samodzielne działy. Wyodrębniono również Dział Pojazdów Konnych, obejmujący dwa budynki ekspozycyjne, a w nich pojazdy, uprzęże, akcesoria i wszystko to, co wiąże się z kulturą i obyczajem i jest ściśle związane z koniem. Moją ambicją było stworzenie ośrodka wiedzy na temat historii pojazdu zaprzęgowego, by służyć ludziom kultury informacjami, ikonografią, zasobem biblioteki specjalistycznej. W Łańcucie były wzory, perły, z których można czerpać wiedzę i do filmu, i do literatury, uczyć się obyczaju i elegancji. Przymuszona przez dyrektora do objęcia funkcji kustosza w tym dziale, zaczęłam uczyć się sama. Pomogły mi w tym wyjazdy na stypendia do Francji, Włoch, liczne podróże prywatne

i popierane przez Ministra Kultury i Sztuki, udział w międzynarodowych zjazdach i wreszcie długoletnia przynależność do Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeum Transportu /IATM/ przy wielkiej międzynarodowej organizacji muzeów /ICOM/. Brałam w nich czynny udział, wygłaszałam referaty, zawsze na tematy polskie, jako przedstawicielka naszego kraju.

Widok na kolekcję pojazdów konnych w łańcuckiej Powozowni.

Powozy, to też ludzie, ich życie i obyczaje. Jakie tajemnice kryje łańcucka Powozownia?

Łańcucka Powozownia jest właściwie nieporównywalna z żadnym innym zbiorem na świecie, gdyż jest jedyną całkowicie zachowaną powozownią zamkową, rezydencjonalną, stworzoną ponad 100 lat temu.

Najwyższej klasy artystycznej, bo tak trzeba określić to rzemiosło, karety, powozy, breki i każdy inny pojazd kryją wiele tajemnic. Tymi skrywanymi wewnątrz są np.

ukryte nazwiska twórców. W przypadku karety galowej Berliny jest to wiedeński siodlarz Karasch i karetnik Marker, a na stopniach stangreckich znajduje się dobrze zakamuflowana data „1830”. Odnajdywanie takich tajemnic jest wielką radością. Są też zagadki, których nie udało się rozwiązać do dzisiaj, gdyż odległość czasowa nie uruchamia naszej wyobraźni w sposób wystarczający. Furgon bagażowy z około połowy XIX w. zaskakuje małymi urządzeniami w podwoziu i nie wiemy do czego służyły. Czasem wewnątrz karety całkiem młodej, bo zaledwie stuletniej, znajdują się uchwyty trudne do zidentyfikowania. Są schowki, jakieś skomplikowane „skrzyneczki” nie wiadomo w jakim celu wmontowane itd. Na koczyku gdańskim inicjały umieszczone na drzwiczkach, ułożone w ornament pod koroną nie zostały odczytane. Na szczęście herb rodziny szlacheckiej Faustów, która na prawdę istniała i występuje w „Błękitnym Almanachu”, został przeze mnie odczytany i znaleziony w starym, niemieckim herbarzu z 1654 r. Co to za radość po wielu miesiącach usilnych poszukiwań!

Sensacją w świecie nauki było odkrycie i udowodnienie, że ambona w małym kościółku w Radaczu koło Słupska, wykonana została z części karet Jana III Sobieskiego. Zrekonstruowane karety pokazane zostały w 2003 roku na wystawie w Wilanowie z okazji 320 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Czy uważa Pani to znalezisko za największe swoje odkrycie, czy były też inne równie ważne?

Czasem zdarza się, że praca historyka sztuki, na ogół żmudna i monotonna, przeobrazi się wielką życiową przygodę. Tak było z rozszyfrowaniem ambony z Radacza, którą zrobiono w 1742 roku z trzech karet – dwóch króla Jana III Sobieskiego i jednej Marii Kazimiery, królowej, żony Jana.

W Wilanowie, na wystawie w 2003 roku pokazano, jaki miały kształt, wielkość, jak były zrobione i co znaczyły metafory, alegorie i symbole barokowe w ich dekoracji malarskiej i rzeźbiarskiej. To dzieła sztuki jeżdżące na złotych kołach. Rozszyfrowanie tego metajęzyka zajęło mi sporo czasu, ale też dało mi możliwość, zagłębienia się w historię, ceremoniał dworski, obyczaje epoki. Uważam, że było to moją życiową misją, aby Polsce oddać trzy królewskie, paradne karety najbardziej kochanego króla.

Wizyta Mieczysławy Cwiklińskiej w Łańcucie w 1968 roku. Od lewej: M. Ćwiklińska, A. Grzybowski, T. Żurawska, red. Radomiński.

Kto ze znanych, sławnych i ciekawych ludzi, którzy odwiedzili Powozownię, najbardziej utkwił Pani w pamięci?

W Łańcucie jestem ponad 50 lat, z tego 30 pracowałam na rzecz Zamku i Powozowni. Przede wszystkim opracowałam zbiory, powiększałam je, zbierałam książki z zakresu historii pojazdów konnych, sama pisałam książki i artykuły, ale w moich czasach Zamek był tak popularny, że zjeżdżało doń mnóstwo ludzi wielkich i sławnych. Koronowane głowy, ambasadorowie, ludzie pióra, teatru, filmu i telewizji. Pamiętam wizytę Wielkiej Księżnej Luksemburga, której towarzyszyłam podczas zwiedzania zamku. Przyjechał z nią cały dwór i co mnie zdziwiło, najbardziej słychać było język polski, bo damy dworu to księżne i księżniczki Polki – Sapieżyny i Sapieżanki. Oprowadzałam też belgijskiego następcę tronu – księcia Filipa w towarzystwie ambasadora Belgii w Polsce, wysokiego arystokraty. Miałam zaszczyt oprowadzać naszego prymasa, ks. kardynała Józefa Glempa. Było bardzo zabawnie,

bo Jego Eminencję wpakowaliśmy do karety generała Piotra Szembeka z XIX w. Z aktorów najmilej wspominam Aleksandrę Śląską, a z reżyserów Janusza Majewskiego. Nigdy nie zapomnę rozmowy z Marią Kuncewiczową, czy z Jerzym Waldorfem. Z zagranicznych gości świata artystycznego wspomnę piękną Juliette Greco. Nie sposób wymienić tu choćby połowy. Na prawdę było wiele osób wspaniałych.

Łańcut przechodził różne okresy. Była Pani świadkiem przyjazdów Cyrankiewicza, Hermaszewskiego, potem przyjeżdżali państwo Potoccy z Peru, prawowici spadkobiercy zamku. Jak wspomina pani tamte czasy?

Państwo Potoccy ożywili Łańcut po latach stanu wojennego i przemian, podczas których miejsce to, jakby straciło na popularności. Zamek znów zaczął rozbrzmiewać muzyką kameralną, odbywały się przyjęcia dla kilkudziesięciu osób. Zjeżdżała na nie arystokracja polska, francuska, hiszpańska, dyplomatyczne osobistości z krajów latynoskich i rodzina Potockich ze wszystkich żyjących jeszcze linii. Myślę, że nawet przed wojną nie było tak licznych zjazdów i o takiej wysokiej randze społecznej, tyle książąt, hrabiów. Zaczęło się od ślubu Rosy i Stanisława Potockich z Peru, którzy właśnie w Łańcucie zapragnęli związać się węzłem małżeńskim. Nawet kaplicę zamkową na tę okazję ksiądz proboszcz specjalnie wyświęcił. No i to, co stało się ważne dla historii Łańcuta, w 2001 roku Państwo Potoccy z pomocą wielu osób zorganizowali uroczysty, z wojskowymi honorami pogrzeb ostatnich właścicieli: Elżbiety z Radziwiłłów Romanowej Potockiej, ich dwóch synów Alfreda – ostatniego ordynata i Jerzego, adiutanta marszałka Józefa Piłsudskiego, później ambasadora Polski przedwojennej w Turcji i w Stanach Zjednoczonych wraz z żoną Susaną Yterregui, Peruwianką. Te cztery osoby były pochowane we wspólnym grobowcu w Lozannie (Szwajcaria). Teraz znajdują się w mauzoleum rodowym pod prezbiterium kościoła farnego w Łańcucie.

Teresa Żurawska z synem Wrzesławem Żurawskim (który zaprojektował m.in. winietę magazynu „Culture Avenue”).

Żyjąc w takim miejscu jak Łańcut, bogatym w tradycje, a jednocześnie mając szeroki kontakt ze światem, (miała pani szereg wystąpień naukowych zarówno w Europie, jak i w Ameryce, jest pani autorką wielu poszukiwanych książek), czy rzeczywiście trzeba pokazywać Europie, nasze bogactwo kulturowe, gdyż wiele lat myślano o nas, że żyjemy daleko od centrum kultury, a takie miejsce, jak Łańcut położone jest pośród stepów, na kulturowej pustyni?

U naszych zachodnich sąsiadów dość powszechnie utrwalił się wizerunek Polski, jako kraju pozbawionego kultury, nieciekawego, uważano, że „na wschód od Łaby nic nie ma”. I oto jakże daleko na wschód od Łaby istnieje taki zamek w Łańcucie i jeszcze dalej Krasiczyn, a w międzyczasie tyle prześlicznych zabytkowych kościołów, murowanych i drewnianych katolickich i prawosławnych. Nie mówiąc już o dworach i pałacach jeszcze dość licznych. Zdziwienie wtedy jest wielkie.

Czy gdyby jeszcze raz kończyła Pani studia, wybrałaby Pani Łańcut, jako swoje życiowe miejsce? Czy Łańcut jest dla Pani tym wymarzonym domem?

Łańcut dla mnie był wynikiem sytuacji życiowej, o której wspomniałam na początku, ale przyznać muszę, że to miejsce jest szczególne i szalenie inspirujące, niezwykle poszerzające wiedzę, bo trzeba znać się po trosze na wszystkim. Opanować trzeba historię Polski i Europy, w dużym zakresie genealogię, obyczaje i ogólnie kulturę, nie mówiąc już o historii sztuki, zwłaszcza czasów nowożytnych. Teraz już bym Łańcuta nie zdradziła, tyle tu mojego trudu, nieprzespanych nocy, przepracowanych dni i wieczorów, tyle emocji, eksploatowanej energii, tyle przyjaźni, spacerów i oddychania pięknem. Jeździłam w świat, ale świat też przyjeżdżał do Łańcuta i do mnie osobiście, zresztą przyjeżdża do dzisiaj. Wiele, nie wstydzę się tej megalomanii, eksponatów i książek przybyło tu za moim pośrednictwem. Cała druga kolekcja pojazdów konnych, uratowanych od zagłady lub wywiezienia. Przez to wszystko Łańcut stał się moim Łańcutem. Czy wymarzonym? – Nie wiem, nie miałam takich konkretnych marzeń, ale stał się nim z pewnością.

Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

A jaki był Pani dom rodzinny, dwór w Czumowie, dom w Zamościu, ojciec, który wrócił pieszo z obozu oficerskiego we Francji do domu, do rodziny? Czy miłość do piękna, ideały, wartości, wszystko co jest w pani i czym pani emanuje, dając innym tak wiele, było w Pani domu?

W Zamościu był dom rodzinny, w którym urodziłam się i ja i mój syn. Do śmierci Taty w 1972 był moim azylem. Drewniany, niezbyt duży, z gankiem oszklonym i werandą od południa, położony wśród ogrodów, z dala od ulicy, przypominał z wyglądu i z obyczajów w nim panujących dwór polski.

Pielęgnowało się wszystkie tradycje świąteczne, katolickie i patriotyczne, chociaż po

wojnie zakazane. Ciepło moich kochających rodziców (przeżyli 49 lat we wzorowej wprost harmonii), gościnność, atmosfera życzliwości, spokój ducha i równowagi psychicznej, były skarbami, które otrzymałam na całe życie, jako fundament mocny i niepodważalny. Jeszcze kilka lat po wojnie była z nami babunia, matka mojego ojca, jak zwykł był o niej mówić „Mateńka”. Kto dziś tak nazywa swoją matkę? A to takie piękne. Mówimy tak modląc się, upraszając o łaskę, ale do Matki Bożej. Myśmy to mieli w codziennych rozmowach przy stole, który jednoczył nas dwa razy dziennie – na obiad i na kolację, czasem był jeszcze czas na podwieczorek.

Jestem z czworga rodzeństwa, była więc z nas siedmioosobowa rodzina. Ojciec przez 6 lat był w niewoli. Najpierw pojmany we wrześniu z 17/ 18 pod Równem wraz z całym taborem polskim. Zapakowali żołnierzy do bydlęcych wagonów i wozili po terenie południowej Rosji, aż po Ural, dając raz dziennie kubek kawy i kromkę spleśniałego chleba. Spali na mokrych liściach. Ta wędrówka bez celu trwała 7 tygodni. Przy wymianie jeńców (Sowieci z Niemcami), oddano Polaków do niewoli niemieckiej. Mój ojciec znalazł się wtedy w obozie międzynarodowym w miejscowości Oschatz w Saksonii. Ciężkie to były lata, wielu nie przeżyło, wielu zachorowało psychicznie. Mój ojciec, rezerwista, już nie młody (miał 40 lat, gdy wybuchła wojna), był bardzo schorowany, cierpiący na bóle stawowe. Jednak wytrzymał i postanowił wrócić do rodziny, bo tak pojmował swój obowiązek wobec społeczeństwa i państwa. Chodził w jednym ubraniu jakie miał, amerykańskim mundurze oficerskim. Na pewno nie ułatwiło mu to życia w pracy.

Pałac w Czumowie.

Czumów – dwór, a właściwie pałac z wysoką wieżą, jest do dzisiaj najjaśniejszym promyczkiem w moim dzieciństwie. Najlepiej pamiętam ostatnie długie wakacje 1939 r. Nasze zabawy ze starszym bratem i wyprawy, trochę tajemnicze, trochę zakazane np. na ową wieżę, gdzie gnieździły się sowy i kawki. Grzebanie w starych papierach, odkrywanie schowków, wyprawy po miód trzmieli i asystowanie przy lokomobili, a potem jazda na workach pełnych pszenicy do spichlerza. To była jeszcze większa frajda, niż zjeżdżanie ze sterty słomy. Radość nasza zakończyła się nawałnicą wojenną. Pamiętam panikę ludzi, gorączkowe rozmowy, przyjmowanie uciekinierów z poznańskiego i z Warszawy. Wszędzie tłok. Wreszcie zapadła decyzja i babcia z mamą postanowiły uciekać za Bug, gdzie mieliśmy rodzinę ze strony ojca. Bryczka mało pojemna i furka z jednym woźnicą, który zechciał jechać z nami wyruszyły ostatnim promem przez Bug w kierunku Uściługa i Włodzimierza Wołyńskiego. Nigdy nie zapomnę widoku tłumów na drodze. Nie dało się jechać. Świetnie przedstawił tę scenę znakomity pan Antczak w filmie „Noce i dnie”. On pochodzi z Włodzimierza, sądzę więc, że widział to, co działo się na tych ziemiach

Wołynia we wrześniu 1939 roku. To tak wyglądało w rzeczywistości. We mnie te obrazy wędrówki, pola po bitwie, palącego się samolotu, świst i warkot maszyn w powietrzu walczących myśliwców, strzelanina i wybuchy pozostały i w oczach i w uszach.

Na długie lata przyćmiły je wydarzenia, które przyniosły lata powojenne. Myślę, że oglądanie od dziecka albumów z kolorowymi widokówkami Kossaków, Andriollego, reprodukcji malarstwa Młodej Polski, które Mama zbierała i pozwalała nam oglądać, zwłaszcza podczas choroby, również encyklopedia Guttenberga, z barwnymi tablicami, oczywiście czasopisma o słodkich obrazkach, może nawet ckliwych, miały ogromny wpływ na kształtowanie się zainteresowań i umiłowań. Trochę wzięłam z genami Babci, z domu Moszyńskiej, która miała rzadkie poczucie estetyki na każdym kroku, wszędzie w najmniejszym drobiazgu. No i ta babcina, słynna już elegancja, nienaganny żabot, zapinka złota lub kamea, staranne uczesanie jeszcze z epoki *fin de siècle'u*, przytrzymane ogromnymi szpilami. To była prawdziwa i ostatnia dama w naszej rodzinie. Takie kobiety potrafiły prowadzić piękny dom.

Co chciałaby Pani najcenniejszego przekazać swoim wnukom?

Chciałabym, aby moje wnuki, a mam ich czworo, były szlachetne wewnątrz, umiały odróżnić dobro od zła i kierować się dobrem, uczciwością, prawością. Chciałabym, żeby były nie tylko piękne z urody, ale i też piękne z wnętrza. Umiały być czułymi, współczującymi, rozumiejącymi i kochającymi. To chyba najważniejsze, no i szanowały swoje korzenie, tak rodzinne, jak i historyczne.

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu*

historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „Yhe transport Museums", miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa" przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.